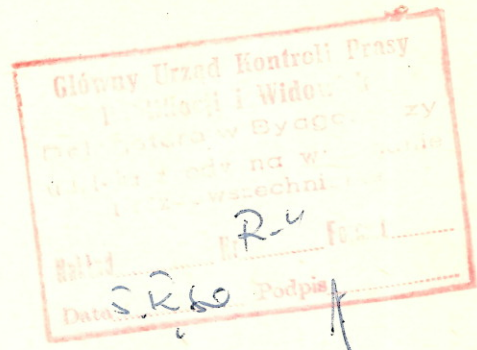


Autor: Edward Kaczmarek  
Redakcja Liter. i Report.

Dnia 7.IX.1980 r. 241  
Godz. 16.05 - 17.30

*Ed Kaczmarek*

P O R A Ż E N I E  
=====



Leżę tu na pokładzie namiarowym, wysoko nad powierzchnią wody, daleko od moich miejsc, oczekuję wyroku Sądu Bogów. Zatoka wciśnięta ostrym klinem między skaliste brzegi lądu, błyska tysiącami mikroskopijnych lusterek. Wiem o tych lusterkach, chociaż nie widzę błysków. Leżę przyklejony do aluminiowego pokładu, ~~nawet głowy podnieść nie mam siły. Leżę płasko, brzuchem do prążącego słońca, od skał wieje delikatny wiaterek, więc zatoka błyska tysiącami oślepiających lusterek.~~ Wiaterek włóczy się po zakamarkach statku, na moment wpada na najwyższy pokład, dotyka kropelek potu na brzuchu, na czole, zagląda w oczy, pewnie usiłuje mnie ratować przed śmiercią.

Statek otoczyła leniwa chwila. Góra blach, rur stalowych, przewodów, silników, grzeje się milcząco w słońcu południa. Tylko liny cumownicze pracują w tej drzemiącej chwili, stękają cicho naprężane kołysaniem kadłuba. Głęboko we wnętrzu, pod warstwami pokładów, silnik tłokowy szarpie pompę i prądnicę, więc jeszcze żyjemy, jeszcze coś tam krąży w przewodach.

Od pracującego silnika drży skóra na brzuchu, pewnie dlatego mam spokój z muchami.

Pode mną, pod trzecim pokładem, w jadalni pasażerów, pomocnik stewarda podaje teraz zimne napoje albo kawę ze śmietaną, na życzenie. W łazience prysznic smaga chłodną ulewą wilgotne, spocone brzuchy. Szklanka chłodnego napoju - ale nie wstanę, chociaż w tej chwili mógłbym jeszcze wstać. Wstając złamałbym dane sobie słowo, niechaj o moim losie rozstrzyga Sąd Bogów, tak jak pokierował losem Marii. Jeśli spostrzegli już brak mojej osoby, pomyślą, że wałęsam się gdzieś w zakamarkach statku. Pomocnik stewarda odstawi moją porcję do lodówki. Za godzinę, za dwie, gdy nie wrócę, steward zmartwi się na chwilę, nie będzie wiedział co zrobić z moim obiadem. Może ktoś obwieści krzykiem, tu i tam, że już obiad. Nie odezwę się, Sąd Bogów na taką pomoc nie zezwala. Nie odezwę się, nawet wówczas gdy głos wołającego będzie tuż przy mnie. Leżę za obudową komina, aby mnie wykryć, trzeba obejść komin, a tego nikt nie uczyni, Pasażerowie, jeśli

w ogóle na pokład namiarowy wychodzą, stają zwykle przy poręczach, z prawej strony komina. Tylko marynarz zmieniający flagę na maszcie, może mnie tu znaleźć, albo przypadkowo włóczący się pasażer. Więc szanse moje są identyczne, nie mogłaby Maria

przypisać mi oszustwa, albo tchórzostwa. Musiałaby lojalnie uznać wyższość mojej świadomej decyzji nad swoją nieświadomą sytuacją. I zapytałaby pewnie, dlaczego w to wszystko się uwikłałem, dlaczego tak wcześnie się poddałem.

Więc mogę teraz myśleć o wszystkim. Mogę spokojnie podsumować swoje lata, wycisnąć tę odrobinę sensu na otwartą dłoń. Jestem w tym miejscu, w którym pragnąłem być. Pochyliłem się w nudny, zimowy wieczór nad mapą: chciałem właśnie tam być, to ciekawy kraj. I jestem tu, dokładnie w tym punkcie, gdzie zrobiłem długopisem kółko na mapie. Najchętniej myślę o fenomenie czasu, przetrzeni i marzenia. Gdy jestem tu, natychmiast wędruję do miejsc gdzie pragnąłbym być. Ale gdy już jestem tam, szukam miejsc dalszych. To Maria mnie pochwaliła: - Jesteś prawdziwym mężczyzną, bo ciągle goni ciebie coś po świecie. Umiesz kochać - mówiła Maria - i jesteś brutalny. Nie kochałem Marii, podziwiałem tylko jej ciało i mistrzostwo, jakie osiągnęła w zdradzaniu Alka.

- Mogę zniszczyć każdego mężczyznę, zrobić z dobrego tatusia łajdaka, rozbić najtrwalsze małżeństwo. Jeśli tylko zechcę, mogę to zrobić - w oczach Marii płonęły złe ogniki. - Tylko ciebie chcę oszczędzić.

- Dlaczego chcesz mnie oszczędzić?

- Nie wiem, pewnie dlatego, że ciebie kocham.

- Mnie nie możesz zniszczyć. Nie mam rodziny, nie mam dziewczyny, na której by mi zależało, nie mam ważnego stanowiska, nie robię kariery, jestem wolny, niezniszczalny.

- Nagromadziłeś dużo wiedzy, możesz łatwo zrobić skok w górę.

Gdy Maria opowiadała szeptem szczegóły swoich złych marzeń, wodziła miękko palcem po szyi i piersiach, kreśliła małe kółeczka, w miejscu gdzie palec wyczuwał puls serca, jakby szukała najsłabszego punktu pod ostrze noża.

- Na wszystko się gapisz, jak mały szczeniak, który odkrywa przygodę życia - wytykała mi.

Wówczas też patrzyłem spokojnie na jej śmierć, gdy znalazła się w ~~śmiertelnych~~ szponach żaru. Patrzyłem jak reżyser sprawdzający szczegóły sytuacji, usiłowałem zapamiętać drobiazgowo tło upływających minut, i słyszeć głośnie, niespokojne bicie własnego serca.

- Nie wytrzymuję słońca, zwłaszcza na plaży - opowiadała.

- Na wycieczce nad morze doznałam porażenia, ledwie się z tego wylizałam.

Maria leżała pod parasolem, głowa w cieniu, opalała nogi i plecy. Z nieba spływał żar południa, gorący piasek plaży parzył stopy. Mewy brodziły tuż przy długim złotawym garbie mielizny.

Zasnęła. Na białej, nie opalanej skórze pleców błysnęły kropelki potu.

Lekki wiaterek przyfrunął od strony morza, popchnął parasol, odsłonił głowę Marii. Poruszył kilka włosów w gęstych czarnych puklach, jakby tarł, jakby usiłował Marię obudzić. Słońce wypalało z komórek mózgu pamięć. Z których? Z tych mnie poświęconych? Alkowi? W ilu komórkach mogła pomieścić Maria naszą sprawę?

Maria ciągle spała. Morze znieruchomiało, ~~tylko~~ cichym szmerem fal, kładzionych plastrami na mokrym skraju plaży, oddychała chłodna głębina. Przez czysty, ogromny błękit nieba płynął małeńki, gęsty obłoczek. Takie samotne, wędrujące przez ocean obłoczki, mieszkańcy Polinezji nazywają rairewa. Leżąc tuż obok Marii śledziłem uważnie ruchy wędrującego kłęбка pary, nawet najdrobniejsze zmiany w jego konstrukcji nie uchodziły mojej uwadze.

Usiłowałem też przypomnieć sobie  ~~pewnie bardzo długie to czyniłem~~ prawa fizyczne, według których tworzą się wędrujące obłoczki.

Próbowałem też ustalić z jaką prędkością płynie obserwowany, i na jakiej wysokości. ~~W obłoczku ujrzałem siedzących w głębi rycin,~~

na ~~pośliskich~~ kartkach starych ksiąg, przedpotopowych mędrców, ich ~~zawile~~ <sup>zawile</sup> wywody, ~~gdy usiłowali~~ <sup>usilowali</sup> wyjaśniać szczegóły otaczającej nas rzeczywistości -  ~~pewnie też śledzili~~ <sup>usilowali</sup> przepływające niebem obłoczki.

Nagle zrozumiałem, że zupełnie przypadkowo uczestniczę w Sądzie Bogów: jeśli obłoczek, chociaż skrawkiem swojej konstrukcji przysłoni tarczę słońca - obudzę Marię. Jeśli przepłynie obok słońca - nie obudzę. Więc teraz obłoczek o wszystkim zdecydował. Gdy po długiej chwili przepłynął poniżej tarczy słońca, odszedłem od Marii. Kilkoma długimi skokami dopadłem wody. Odplynałem.

Płynąłem dużym łukiem do zatoczki gdzie stały białe jachty i wodne rowery. Płynąłem szybko, jak tylko najszybciej mogłem, krytą żabką, to była ostatnia szansa, jaką dawałem Marii. Dwa kilometry żabką, skandowałem w rytm pracy rąk: ostatnia szansa, ostatnia szansa...

Gdy wchodziłem na taras kawiarenki, prosto z morza, jeszcze mokry, Alek zapytał: - Nie widziałeś przypadkiem Marii? - starannie ukrywał cień niepokoju. Fascynujące, ten jego niepokój, ta troska o Marię. Pewnie dlatego znienawidziła go ~~Maria~~, za tę troskę, za tę przesadną grzeczność i wyrozumiałość, za to, że nie chciał niczego widzieć i słyszeć. Nigdy nie miałem pewności czy Alek należy do tego dość liczego typu mężczyzn, których żony owijają dookoła małego palca. Czy też należy do tej znikomej grupy mądrych stoików, którzy potrafią spokojnie znieść każdą zniewagę?

Może Alek był mądrzejszy ode mnie i od wszystkich tych mężczyzn, których widział u boku swojej pięknej żony? A może Alek kochał właśnie najprawdziwiej Marię?

- Idź umyj samochód! Za godzinę pojedziemy do mamy! - rozkazała kiedyś Maria.

Poczułem się wtedy głupio. Nie znałem jeszcze dostatecznie ani Marii, ani Alka. Alek dopił kawę, zarzucił na ramiona marynarkę, sprawdził czy w kieszeni są klucze od garażu i wyszedł - zachował się tak, jakby to był jego pomysł z tym myciem samochodu. Wyszedł jak człowiek, który woli umyć samochód, aniżeli uczestniczyć w nieciekawej rozmowie towarzyskiej. Po wyjściu Alka, Maria zamknęła drzwi przedpokoju na klucz. ~~† Nogi rozprostuję. Po chwili uzupełniła: - Zamknęłam drzwi przedpokoju na klucz.~~ <sup>lo</sup> (Czasem dzieciarnia z czwartego piętra próbuje, czy drzwi są otwarte i zagląda do przedpokoju, albo krzyczą, nie znoszą tego. Powiedziałem, wówczas, że słusznie czyni zamykając drzwi na klucz, mówiłem o złodziejach i Cygankach. Maria zamknęła oczy, zapanowało denerwujące milczenie. Spytałem, czy mogę zapalić papierosa.

- Też z przyjemnością zapalę. Ale musisz mi podać do ust.

Po raz pierwszy mówiła do mnie "ty".

Leżałem obok Marii, podparty ręką, podziwiałem rysy jej twarzy. Usiłowałem pośród różnych szmerów i hałasów, docierających tu z korytarza, wyłowić kroki powracającego Alka.

- Dlaczego mnie nie całujesz? Myślisz o Alku, że może w każdej chwili wrócić? Zapewniam cię, przed upływem godziny nie wróci, tyle czasu potrzebuje na solidne umycie wozu. Wszystko czego się dotknie robi solidnie. Chyba zauważyłeś to, pracujecie razem. Pokiwałem głową potwierdzająco. Ale Maria wyczytała w moich oczach napięcie, jakie towarzyszy człowiekowi usiłującemu usłyszeć, co dzieje się na schodach. Wstała, wyniosła z kuchni mały stół, postawiła tuż przy zamkniętych drzwiach, prowadzących na korytarz. Na stole ustawiła taboret. - Wystarczy? - Gdy Alek będzie usiłował otworzyć drzwi, powiem żeby chwileczkę poczekał, gdyż wymieniasz bezpiecznik. Potem odsuniemy z hukiem stół.

- Możesz mnie teraz spokojnie całować. Alek nie umie całować. Jest dyrektorem i jednocześnie małym, wstydliwym chłopcem. Nie wyrządzisz mu żadnej krzywdy, bo nie kocham go. Z nim nie ma ryzyka, jest człowiekiem solidnym i dokładnym. A z tym stołem przy drzwiach, robię to po raz pierwszy, możesz mi wierzyć.

Gdy Alek zapytał o Marię, chciałem mu krzyknąć w oczy: możemy być wolni od niej, już za chwilę. Ale postanowiłem dać Marii ostatnią szansę, więc dotrzymałem słowa.



- Widziałem Marię za Skałkami, spacerowała wzdłuż plaży.

Odpłynąłem, minęły już ze dwie godziny od tego momentu.

- Marii szkodzi słońce, nie powinna chodzić w tej spiekocie na plaży - mówił z przejęciem.

- Miała parasol.

- Pójdę do niej.

Poszedł. Szedł szybko; gdy zniknął za Skałkami, ubrałem się i opuściłem plażę. Towarzystwu powiedziałem, że mam pilną sprawę do załatwienia.

Zająłem w kawiarni narożne miejsce, przez cienką, lekko pofalowaną firankę widziałem daleką perspektywę ulicy prowadzącej na molo. Ulicą płynął niekończący się tłum: tysiące ludzi spacerujących bez celu. ~~Jeśli~~ <sup>Jeśli</sup> Los, przypadkowo, wbrew mojej woli, rzucał mnie w środek tłumy, w płynący potok ludzki, ~~kurczyły~~ <sup>kurczyły</sup> się we mnie swobodne myśli, lęk paraliżował ruchy i język. Osaczony, bezwolny, drepcący manekin, popychany potokiem ciał, sunąłem przed siebie, bez protestu, wsłuchany w gwałtowny rytm serca, ~~oczekujący chwili kiedy stanie, zniechęcony.~~

Całe życie uciekam od tłumy, wymykam się, szukam miejsc pustych, gdzie ~~by~~ jeszcze pomyśleć <sup>można</sup>, gdzie ~~by~~ <sup>można</sup> ~~jeszcze~~ ~~móc~~ być sobą. Uciekam i ciągle tkwię w samym środku, nienawidzę tej

swojej uległości, oficjalnej aprobaty, grzecznie wypisanej na prawidłowo ulizanym obliczu.

Nagle tłum zamarł; ~~drżająca masa zastygła na moment, skurczyło się cielsko potwora;~~ tysiące oczu <sup>patniło</sup> ~~wlepił~~ w wylot ulicy, prowadzącej do plaży. Za szarymi, zwartymi blokami kamienic, cienką kłującą igiełką dźwięku, przedzierała się ku plaży karetka <sup>pojeżdżająca</sup> sanitarna.

Wszystko co w życiu przemyślałem na temat Panów Bogów, i o włosie spadającym z głowy, ma swój głęboki sens. Bo dlaczego, w takim razie, myślałem o tym tyle lat? Stara Puziakowa też

myślała o tym i Stary Mazurek, i Malarz Suchotnik, i właściwie wszyscy z mojej dzielnicy myśleli o tym. Bardzo różnie myśleli. Stara Puziakowa doskonale wiedziała, że do Pana Boga prowadzą szerokie, marmurowe schody z masywnymi poręczami też z marmuru. Co kilka stopni jest malenki taras, z boku, przy poręczach, na tych tarasach, stoją wielkie, bardzo drogie wazony z ogromnymi bukietami złotych róż. Stoją też na stopniach święci halabardnicy w złotem szytej liberii. Natomiast Stary Mazurek doskonale wiedział, że jest inaczej: płynął przez głęboką rzekę uczepony końskiego ogona, i mimo wszystko, chociaż nie umiał pływać,

a pociski nieprzyjacielskiej artylerii, rozrywając się, wyrzucały przed nim i za nim fontanny wody, płynął głęboko przekonany, że włos mu z głowy nie spadnie, jeśli tam w górze tego nie przewidziano.

Wszyscy <sup>mają</sup> mieli swoje udokumentowane poglądy na te sprawy.

Nasz Profesorek z ogólniaka, bardzo elokwentny, też miał swoją teorię, bardzo zawiłą, misternie szytą cienkimi nićmi czystej logiki. Wiadomo, profesorowie i doktorzy, a nawet niektórzy magistrowie, szczególnie ci od nauk ścisłych, mają odpowiednio do poziomu swojej samowiedzy, inne, znacznie trudniejsze do zrozumienia teorie na temat Panów Bogów i spadającego włosa.

Teorie przypominają etykiety na butelce, bo gdy tak uda się gdzieś, za jakieś naroża albo krawędź źle doklejoną uchwycić paznokciem, wówczas spod zawiłych symboli instrukcji wyzierają po prostu marmurowe schody i święci halabardnicy, a w butelce wspinający się ciągle do wylotu karaluch, zwątpienie. Teorie

ogrzewają nas, jak ubrania, dobrze skrojone podnoszą naszą ważność, stają się mimo woli sensem, szczególnie podczas oficjalnych przyjęć, gdy w jednej ręce trzymamy kielich, zaś drugą gładzimy powietrze nad łagodnymi wypukłościami naszych olśniewających myśli.

Tak więc za sprawą mojej teorii, zbyt późno ułożyli sanitariusze Marię ~~na~~ w zbawczym cieniu karetki. Sąd Bogów wypadł na jej niekorzyść: wiatr zepchnął parasol, obłok przewędrował obok tarczy słońca i fala opóźniała tempo mojego pływania. Gdy karetka wracała z plaży, tłum ponownie zafalował ciekawością. Podjąłem wówczas myśl, że o moim uczestnictwie na pogrzebie Marii powinien również zdecydować Sąd Bogów: orzeł - reszka. Postanowiono, że mam pójść na pogrzeb.

- - - - -